

Udział Profesora Zdzisława Stiebera w tworzeniu warszawskiej slawistyki

W latach powojennych w budynku porektorskim UW na II piętrze znajdowało się Seminarium Slawistyczne (późniejsza Katedra Filologii Słowiańskiej), której kierownikiem był prof. dr Stanisław Słoński, a także pomieszczenie nieczynnej po wojnie Katedry Filologii Germańskiej, gdzie w roku 1954 w wydzielonym pokoju znalazło się miejsce pracy dwóch młodych asystentek powstającego Zakładu Słowianoznawstwa PAN: mgr Hanny Popowskiej (-Taborskiej) i mgr Zuzanny Topolińskiej. Wkrótce – w roku 1955 – emerytowanego prof. Słońskiego zastąpił na katedrze prof. dr Zdzisław Stieber, który – obok prof. dra Witolda Doroszewskiego – zajął się organizowaniem badań dialektologicznych w powstającej w Warszawie Polskiej Akademii Nauk. Od roku 1955 II Pracownia Dialektologiczna Zakładu Słowianoznawstwa PAN znalazła większe pomieszczenie w narożnym pokoju na 21. piętrze oddanego do użytku 21 lipca tegoż roku Pałacu Kultury i Nauki. Pracownia ta zajmowała się głównie problematyką kaszubską, stąd jej nieoficjalna nazwa Pracownia Kaszubska. Od roku 1955 obok dwóch wspomnianych starszych asystentek (H. Popowskiej i Z. Topolińskiej) pracowały tam: Ewa Kamińska (później Rzetelska-Feleszko) i Jadwiga Pałkowska (później Zieniukowa), do których dołączyła Jadwiga Majowa (z d. Gawlik). Przez krótki czas pracowała tam na pracach zleconych (zaraz po studiach) mgr Anna Wierzbicka, obecnie profesor austalijskiego uniwersytetu w Canberze.

Na początku pozwolę sobie wyrazić mój osobisty stosunek do profesora Zdzisława Stiebera i jego zespołu. Ponieważ mimo różnicy wieku i wykształcenia byłem traktowany w tym zespole jako równy, choć niedorównujący innym wiedzą, czułem się młodszym kolegą, przed którym nie trzeba było ukrywać swoich poglądów, także politycznych – w okresie przecież jeszcze stalinowskim. Hanna Popowska(-Taborska) i Zuzanna Topolińska były dla mnie wówczas wzorem patriotyzmu, szczególnie w 1956 r., gdy pomagały na Dworcu Wschodnim w Warszawie w akcji pomocy dla repatriantów i reemi-

grantów ze Związku Radzieckiego. Podobnie Ewa Kamińska (Rzetelska-Feleszko), dzięki której nawiązałem kontakt z jej ojcem druhem Aleksandrem Kamińskim i miałem zaszczyt gościć go w swojej 45. WDH im. Floriana Marciniaka, pierwszego naczelnika Szarych Szeregów (w dawnym gimnazjum Staszica), a następnie z bratem Floriana Marciniaka, dzięki któremu nawiązałem z kolei kontakt ze Stanisławem Broniewskim (ps. „Stefan Orsza”), również naczelnikiem Szarych Szeregów. I dzisiaj mieszkam w pobliżu domu, w którym byłem u Stanisława Broniewskiego.

Jadwiga Pałkowska (dziś Zieniukowa) służyła często mnie i innym poradami praktycznymi, które wypływały z jej dobroci. Pierwsze dwie panie otrzymały (chyba od prof. Stiebera) nazwę Puchatki ze względu na ich ulubioną książkę. Drugie dwie, Pucalinki, zaczęły pracę rok później. Wszystkie one ukończyły polonistykę i przynajmniej część studiów odbyły w Łodzi, gdzie w latach 1945–1952 pracował profesor Stieber. Nieżyjąca już bohemistka Jadwiga Gawlik(-Majowa) – ze względu na jej wysoki wzrost nazywana Maleństwem – miała inny obiekt zainteresowań: dialekt śląski. Studia bohemistyczne odbyła na Uniwersytecie Warszawskim.

W roku 1955 – po wstępnych przygotowaniach – prof. Stieber zorganizował rekonesansowe badania dialektologiczne na Kaszubach z udziałem polskich i zagranicznych profesorów i asystentów. W grupie tej obok znanych wybitnych językoznawców polskich, jak Przemysław Zwoliński, a także zagranicznych, jak Bożidar Vidoeski i inni, znalazło się dwóch studentów kończących I rok studiów slawistycznych: Eugeniusz Możejko i Włodzimierz Pianko (obecnie Pianka).

Zostali oni wybrani spośród 16 osób przez doktora (obecnie profesora) Janusza Siatkowskiego, który prowadził na I roku filologii słowiańskiej zajęcia z gramatyki opisowej języka polskiego i w ramach tych zajęć zorganizował ćwiczenia w terenie na granicy obszarów z fonetyką międzywyrazową udźwięczniającą i ubezdźwięczniającą w okolicach Szymanowa w powiecie sochaczewskim. Pierwszy z wymienionych studentów zrezygnował z dalszych proponowanych mu wyjazdów na badania dialektologiczne. Drugi natomiast uczestniczył w badaniach (o charakterze dla niego szkoleniowym) oraz w pracach porządkujących kartotekę *Atlasu językowego kaszubszczyzny i dialektów sąsiednich* do końca studiów. Po ich ukończeniu wyjeżdżał w teren (w latach 1960 i 1961 r.) jako pełnoprawny eksplorator terenowy.

Pierwszym zadaniem, które od początków dialektologii jako nauki, stoi przed prowadzącymi te badania naukowcami, jest zestawienie kwestionariusza do badań terenowych. Pracę tę wykonały osoby, które jako pierwsze zostały zatrudnione na etacie w II Pracowni Dialektologicznej Zakładu Słowianoznawstwa PAN: Hanna Popowska(-Taborska) i Zuzanna Topolińska oraz Janusz Siatkowski, wówczas asystent profesora Witolda Doroszewskiego



32. Na badania terenowe wyjeżdżali studenci, asystenci Profesora, a także uczeni z innych krajów; od lewej: Jadwiga Zieniukowa, Božidar Vidoeski (ze Skopje), Zuzanna Topolińska, Barbro Magnerup (?), Włodzimierz Pianka – na moło w Sopocie



33. Zdzisław Stieber w terenie ze swoimi asystentkami – od prawej: Hanna Taborska, Ewa Rzetelska-Feleszko, Zuzanna Topolińska

w I Pracowni Dialektologicznej Zakładu Językoznawstwa PAN, mieszczącej się w Doroszianum (ówczesna popularna nazwa budynku dzisiejszych instytutów polonistycznych UW). Po małej interwencji tekstowej projekt kwestionariusza został zatwierdzony i wprowadzony do badań gwarowych na Pomorzu.

Badania terenowe odbywały się w porze letniej. Najpierw były prowadzone na Kaszubach, poczynając od ich części północnej, a następnie przedmiotem eksploracji były gvary Krajny, Borów Tucholskich, Kociewia oraz obszarów pogranicznych: malborskiego, grudziądzkiego, chełmińskiego, Kujaw i północnej Wielkopolski (por. AJK z. XV, mapa 38). Początkowo – jako student – uczestniczyłem w grupach 2–4 osobowych, które w ciągu dwóch do trzech (maksymalnie do czterech) dni przeprowadzały eksplorację terenową gvary w jednej wsi, czyli mówiąc mniej uczenie – odpytywały kwestionariusz w jednym punkcie AJK.

Przed wyjazdem na badania terenowe, które jednorazowo trwały do dwóch tygodni, osoby wyjeżdżające robiły przygotowania, poczynając od czynności urzędowych, jak załatwienie delegacji służbowych w sekretariacie PAN na wniosek kierownika Zakładu Słowianoznawstwa prof. Stieberta i rezerwację biletów PKP w wagonach pierwszej klasy, a także zaopatrzenia się w kwestionariusze, stukartkowe perforowane bruliony (6 kartek perforowanych na jednej kartce brulionu, z przeznaczeniem każdej kartki perforowanej na zapis odpowiedzi informatora na jedno pytanie kwestionariusza), dalej – w ołówki kopiowe, latarki, spiwory, skafandry turystyczne albo płaszcze nieprzemakalne, paczkę herbaty lub kawy (rarytas!), wałówki (potocznie: 'prowiant, zwłaszcza otrzymywany w domu na podróż lub pobyt w miejscu, w którym nabycie bądź przygotowanie go może być utrudnione' – SJP). Tak oprzyrządowani młodzi i starsi dialektolodzy wyruszali na Dworzec Główny w Warszawie, skąd udawali się do różnych stacji PKP na Pomorzu Gdańskim. Ponieważ sieć linii autobusowych (PKS) była wówczas bardzo rzadka, często dalszą drogę do wsi – planowanych punktów AJK – odbywało się pieszo, a tylko rzadko można było skorzystać z okazji. Ze swoich wyjazdów samodzielnych pamiętam przygodę z Borów Tucholskich, gdzie po prawie godzinie oczekiwania na okazję, zatrzymałem samochód ciężarowy z opuszczonymi klapami (jechał prawdopodobnie po ścięte drzewa) i – łudząc się, że zajmę miejsce przy kierowcy – musiałem jednak skorzystać z miejsca na platformie. Ciężarówka jechała najpierw stosunkowo wolno, lecz w pewnym momencie – w lesie – zwiększyła prędkość do ok. 80 km na godz., jadąc po resztkach pozostałych z betonowej nawierzchni. Mimo moich krzyków, kierowca nie zwolnił, więc z trudem stanąłem na platformie i – szeroko rozkraczony – jechałem przez Bory Tucholskie jeszcze prawie pół godziny.

Jednak nie tylko komunikacja była wówczas problemem dla eksplorato-

rów terenowych, ale także nocleg. Tylko w miastach były hotele, albo raczej hoteliki, ze względu na wyjazdy służbowe urzędników państwowych i funkcjonariuszy partyjnych. Hotele turystyczne, noclegownie, schroniska turystyczne były nieznane. Dialektolodzy wyszukiwali więc większe i porządniej wyglądające domy i tam prosili o nocleg. Zwykle korzystało się z gościnności gospodarzy, którzy nie przyjmowali zapłaty. Mieszkania kaszubskie były na ogół porządniejsze i czystsze niż w domach wiejskich w innych częściach kraju. Były jednak od tego wyjątki. Prof. Zuzanna Topolińska zapytana o przygody z tamtych lat, odpowiedziała mi, że największym dla niej koszmarem z tamtych lat był nocleg w pewnej kaszubskiej chałupie (checzy), gdzie aż roilo się od pcheł, a na ścianie nad łóżkiem wisiał święty obraz z niemieckim napisem: *Panie, bądź z nami, bo noc się zbliża*. Nie dziwne więc, że w okresie upałów między sianokosami a żniwami nasi dialektolodzy często korzystali z noclegu w stodole. Przypominam sobie taki nocleg, gdy do grupy, w której wtedy byłem, dołączyli przed swoim odjazdem dialektolodzy przeprowadzający badania w sąsiednich wsiach ze względu na obecność prof. Stieberta w naszej grupie. Cel był naukowy: rozmowa o cechach językowych miejscowej gwary, ale także towarzyski, ponieważ Profesor lubił opowiadać anegdoty, w tym anegdoty o swoich profesorach. Tego wieczoru ułożyliśmy się do snu w sąsiedku stodoły u gospodarzy, u których kończyliśmy pracę zaplanowaną na ten dzień. Było nas około dziesięciu osób. Centralne miejsce na sianie przeznacziliśmy dla prof. Stieberta. Ja położyłem się na drugim miejscu od ściany, między śpiworami, w których spali: nieżyjący już mój kolega ze studiów Cezar Piernikarski oraz Hanka Popowska. Pierwszy obudził się Cezar, który – zaspany – wymruczał: „To kogut piał, a Hanka myślała, że to szwa”. Tu trzeba wyjaśnić, że Hanka Popowska wypełniała na badaniach dwa kwestionariusze: jeden AJK, a drugi do swej przyszłej pracy doktorskiej na temat samogłoski szwa (kaszb. *ë* < **ĩ*, **ỹ*, **ũ*).

W czasie badań terenowych ich uczestnicy nie tylko mogli się dowiedzieć od swoich kolegów o ich językoznawczych snach, ale także na jawie pogłębić swoją wiedzę językoznawczą – i co ich najbardziej zaskoczyło – o języku naszych przodków sprzed kilku tysięcy lat. Otóż pewnego późnego gorącego letniego popołudnia eksploratorzy usiedli na miedzy przy ściernisku, żeby omówić ciekawsze cechy gwary, którą właśnie zapisywali. W tym zwiastującym burzę momencie pojawił się rolnik, który chciał zebrać niepowiązane pokosy, aby je szybko związać w snopki i odwieźć do stodoły. Obserwowaliśmy go, jak szybko się uwijał ze swoją pracą, aby zdążyć przed burzą. Praca wieśniaka zakończyła się jednak wcześniej niż nasza rozmowa z Profesorem. Rolnik zapytał, co my tu robimy. Na zmianę wyjaśnialiśmy mu, na czym polega praca dialektologów. Nie wszystko rozumiał, więc pewne rzeczy powtarzaliśmy. A wreszcie dziadek nas podsumował: „Po co wy to

wszystko robicie, przecież od dawna jest wiadome, że *dziadek* po indogermansku nazywał się *dadu*”. Tu nas „zatkało”. Dziadek był w podartym i brudnym ubraniu, miał zmierzwione włosy i brudne ręce i... zrobił nam wykład z języka praindoeuropejskiego.

Następnego dnia szukaliśmy jego domu. Znaleźliśmy go w końcu, ale gospodarza nie było w domu. Była za to jego siostra, która opowiedziała o jego życiu: o tym, jak był pupilkiem księdza proboszcza i najlepszym uczniem w ówczesnej czteroklasowej szkole ludowej. Ksiądz swojemu ulubionemu ministrantowi zapisał w testamencie całą swoją bibliotekę. Ten zaś przez całe życie czytał opasłe dzieła uczonych niemieckich XIX wieku, które stały w najlepszym porządku za kratą szafy bibliotecznej pokaźnych rozmiarów.

Uczonych ludzi spotkaliśmy jednak więcej, chociaż nasze zaskoczenie było największe w domu brata i siostry. Tym razem warto wspomnieć uczoną niewiastę, która po objaśnieniu jej naszego zadania, pojęła w lot, o co w kwestionariuszu chodzi i zaczęła odpowiadać na stawiane jej pytania w tempie kulomiotu, parę razy tylko robiła przerwy, m.in. kiedy doszło do pytania z rozdziału XXI Meteorologia: *nów księżyc* – gen. sg. Po zakończeniu rozmowy poprosiła, żeby wrócić do tego pytania i – gdy, nie mogąc sobie przypomnieć tej nazwy, poprosiła o jej podanie i usłyszała odpowiedź – utworzyła formę drugiego przypadku w postaci *ni mo tygo nufa*. Jej płynna literacka polszczyzna okazała się zrozumiała, gdy się dowiedzieliśmy, że jest nauczycielką, ale chyba nie przyrody czy astronomii. Na koniec nasza informatorka wypytała nas o naszą pracę, zawód oraz stopnie i tytuły naukowe. Drugiego dnia odwróciły się role. Informatorka, dowiedziawszy się poprzedniego dnia, że z nami jest nasz profesor doktor, położyła się do łóżka. I teraz ona nas wypytywała, a przede wszystkim profesora doktora (poza nim były tylko panie magister i jeden student) o diagnozy, przyczyny i leczenie wszystkich swoich chorób, a szczególnie tej, z powodu której znalazła się w łóżku.

Fakt, że naszym kierownikiem był mężczyzna, i że był też młody chłopak przed wojskiem – student, nikogo nie dziwił. Dziwiło ludzi zapewne to, że w tym dalekim Pałacu Kultury w Warszawie pracują chyba same „białki” (kobiety). Ale mimo to musieli wierzyć w to, skoro na własne oczy to widzieli. I tak się przejęli, że po jakimś czasie przyszedł list z terenu od informatorów Kaszubów zaadresowany: II Pracownia Dialektologiczna Pań (Pań zamiast PAN).

W II Pracowni Dialektologicznej PAN przebywałem nie tylko w godzinach pracy osób w niej zatrudnionych, tj. 9.00–13.30, gdy wykonywałem różne prace techniczne związane z tworzeniem kartoteki do przygotowywanego atlasu gwar kaszubskich i sąsiednich (łącznie z ćwiczebnymi próbami wykonywania map dialektologicznych na stole podświetlanym), ale także po godzinach pracy Z. Stiebera, kiedy zajmowałem się ekscerpcją form czasów

przeszłych w Nowym Testamencie Mikołaja Jakubicy do swojej pracy magisterskiej. W tym przejściowym pokoju (do II Pracowni Dialektologicznej), gabinecie prof. Stiebera, było wiele tekturowych teczek, w których znajdowały się fotokopie wykonane na grubych sztywnych papierach fotograficznych formatu A4. Ten najstarszy zabytek dolnołużycki, uważany po II wojnie światowej za zaginiony, odnalazł w Tybindze Heinz Schuster-Šewc, który przekazał jego fotokopię profesorowi Stieberowi. Przychodziłem do gabinetu Z. Stiebera w godzinach popołudniowych, aby nikomu nie przeszkadzać. Widywały mnie tam tylko dwie sprzątaczkі: starsza, wtrącająca wiele wyrazów z gwary warszawskiej i młodsza, mająca fonetykę gwar wschodnich i wymieszane z polskim słownictwo łemkowskie.

Zdarzyło się któregoś przedpołudnia, kiedy został odwołany wykład na uniwersytecie, że w godzinach przedpołudniowych – ostrożnie przeszedłem przez wyjątkowo pusty gabinet Z. Stiebera i lekko otworzyłem drzwi II Pracowni, gdzie – zamiast pań zajętych swoją pracą – zobaczyłem rozstawiony na środku stół podświetlany, a przy nim całą pracownię oraz nieznanego mi mężczyznę w sile wieku. Zamknąłem więc drzwi i zacząłem się zastanawiać, co zrobić „z tak pięknie rozpoczętym dniem”. Zapukałem mocniej i – gdy podeszła do mnie jedna z pracujących tam pań – zapytałem, kto to jest ten nieznajomy. „Profesor Kuryłowicz” – usłyszałem. „Niech pan wejdzie!”. Próbowałem się wymawiać, ale przyszły inne osoby, które mnie prawie do tego zmusiły. Posadzono mnie, studenta piątego roku slawistyki, blisko profesora Jerzego Kuryłowicza, członka rzeczywistego PAN. Rozmawiano na tematy językoznawcze, więc wypadało coś powiedzieć, tym bardziej, że przedstawiono mnie profesorowi Kuryłowiczowi jako profesora Szczypiora, co wywołało u mnie zdumienie, ale przecież nie wypadało protestować. Choć profesor Kuryłowicz był krótkowidzem, to jednak dziwnie na mnie patrzył, pewnie myśląc, że to chyba niemożliwe, iż on nie zna profesora o takim nazwisku. Pamiętam, że przypominałem sobie jakiś problem z fonologii historycznej i wypowiedziałem kilka zdań. Ucieszyło mnie, kiedy profesor najpierw trochę wyprostował moje myślenie (wyrażenie?) i w końcu przyznał, że to jest ważny problem naukowy.

Dopiero następnego dnia dowiedziałem się, że dzień przed wizytą profesora Kuryłowicza, przed końcem pracy, do Pracowni Kaszubskiej przyszły wcześniej niż zwykle obie panie sprzątające i oświadczyły, że one już wiedzą, kto to jest ten profesor Szczypiór, który przychodzi tylko przed południem. I opisały mój wygląd. Nie trudno było się domyślić asystentkom prof. Stiebera, że osoby te, które pismo znały zapewne z organizowanych przez władzę ludową kursów dla analfabetów, tak właśnie odczytują nazwisko Stieber na wizytówce na drzwiach jego gabinetu. Odtąd przez dłuższy czas byłem nazywany profesorem Szczypiosem, co – chociaż tylko żart – było

dla mnie jak przywilej szlachecki, nadający mi więcej godności.

Odwrotnie zostałem potraktowany przez promotora mojej pracy magisterskiej, profesora Stiebera. Otóż zostałem kiedyś zaproszony do państwa Taborskich, którzy przenieśli się do nowego mieszkania. Głównym gościem był prof. Stieber, kierownik II Pracowni Dialektologicznej i dyrektor całego Zakładu Słowianoznawstwa. Rozmowa dotyczyła, jak często w tamtych czasach, okresu przedwojennego. W pewnym momencie zapytał mnie profesor Stieber, jako najmłodszego w tym towarzystwie, czy ja coś pamiętam sprzed wybuchu wojny 1 września 1939 roku. Odpowiedziałem, że pamiętam, jak mi mój tata kupił wiklinowe łóżeczko, które jeszcze stoi gdzieś u nas w ogrodzie. I opisałem, jaki upalny był ten dzień wrześniowy 1939 r., kiedy zobaczyłem ojca z łóżeczkiem na plecach i jego plecy oblane potem. Niósł łóżeczko na plecach, ponieważ kupił je na targu, który był po drugiej stronie torów kolejowych, skąd – aby dojechać do naszego domu – trzeba było okrążyć miasto od zachodu i wrócić na miejsce odległe o 20–30 m od tego okrążenia. Dodam, że mój ojciec był silnym i wysokim mężczyzną. Profesor Stieber jeszcze po kilku latach, gdy przyjeżdżałem na wakacje ze Skopja, gdzie przez osiem lat pracowałem jako lektor języka polskiego, wspominał z uśmiechem moje wiklinowe łóżeczko, myśląc zapewne, jaki to ja jestem jeszcze młody, że z czasów przedwojennych mogę sobie przypomnieć tylko swoje wiklinowe łóżeczko.